NUMER 39. DNIA 27-go WRZEŚNIA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Władysław Jagiełło

Wdzięczna potomność wznosi w prastarym Gródku, obsypanym niegdyś łaską Jagiełły, pomnik ku czci tego monarchy. Sam on za życia, co przed pięciu wiekami wtoczyło się jak strumień wspaniały na przestworza naszej historji, rozsypał po całej Polsce, jak długa i szeroka, monumentów swoich co niemiara. Każdy zakątek kraju zachował ślady Jagiełły, a w niektórych żywemi usty dziś jeszcze opowiada o wielkim królu tradycja.

Potężna zaprawdę postać i osobliwa wielce, nawet na czasy, w których wywiodła ją Opatrzność na widownię dziejową z ostępów matecznika litewskiego.

Homerycka jakaś prostota bije od Jagiełły, mieszając się z pobożnym romantyzmem średniowiecza. Nie dziw też, że klasycznie już wykształconemu Długoszowi nie przypadł do smaku. Bo ten kapłan żarliwy nie mógł na równi z chrześciańskimi pany traktować męża, który znaczną częścią swego życia tkwił jeszcze w pogaństwie. I nie mógł Długosz, — jeden z największych na swe czasy erudytów, wielbiciel dziejopisarzy łacińskich, — zapalić się uwielbieniem dla króla, którego postać, życie, a nawet czyny monarsze tak mało przypominały ogładę i subtelność liwiańskiego stylu.

Poszło zaś utorowanym przez Długosza szlakiem wielu także nowoczesnych szperaczy. Uzbrojeni w znane „szkiełko mędrca“, przy pomocy tego aparatu wykryli w Jagielle ślady słabostek ludzkich, jakgdyby istniał kiedykolwiek syn ziemi, wolny od nich!

Ani jednakże tym poszukiwaczom plam na słońcu, ani staremu Długoszowi nie udało się umniejszyć miłości, lub czci obniżyć, którą wiek po wieku składają u stóp Jagiełły. Wielkość jego pozostała nieuszczuplona i przeszedłszy próbę pięciu wieków, chyba już nie zmaleje — ta wielkość, co grozę siała wśród wrogów tylko, dla swoich zaś była cała oddaniem się, dobrocią, łaską.

Wszedł do Polski jak kolendowy „Litwin z lasa“ i nie dziw, jeśli delikatna płonka andegaweńska, Kazimierzowa wnuka, Jadwiga, witała Jagiełłę jako męża tylko przez cześć dla woli narodu, ale nie bez lęku i wstrętu. A jednak bardzo szybko pouczyły ją wypadki, że pod pozorami nieokrzesania tkwi wielki, opatrznościowy człowiek.

Był nim Jagiełło w istocie. Zachwianej rozterkami wewnętrznemi Polsce wlał nowe soki w żyły; wprowadził do jej modrzewiowego dworca Litwę, wielki, krzepki naród, bez pomocy którego byłaby nie miała sił do odegrania tak wspaniałej roli w drugiej połowie wieku XV. i w w. XVI.

Zapewne, że kultura, jaką spotkał w tym kraju, mogła mu imponować. Ale Jagiełło przy-

niósł z nowych sił zasobem także świeżą, młodocianą wrażliwość — zapewniając dzięki temu jeszcze większe wzmożenie się i rozkwit cywilizacji naszej... Na bujnym, dziewiczym gruncie Litwy nietylko zmężniała potęga Polski; także jej idea zasiliła się stamtąd nowymi pierwiastkami.

Leżały w umyśle i w sercu Jagiełły zapasy zdolności nieuświadomionych tak długo, aż znalazły pole do objawienia się na zewnątrz szeregiem czynów znakomitych. Ledwie tron objąwszy, uspokoił Wielkopolskę, a Ruś przy pomocy Jadwigi odzyskał. Tak zapewnił sobie spokój wewnątrz państwa i wówczas to stanął do zapasów z odwiecznym wrogiem Słowiańszczyzny.

Gdyby nic więcej, tylko jeden Grunwald, zapisano na rachunek zasług Jagiełły, już on by pamięć miał zapewnioną po wieki. A z jaką roztropnością potrafił rozpłomienić umysły polskie dla swych zamiarów; z jakiem ducha wytężeniem przygotował pamiętną wyprawę; z jakiem ukorzeniem się przed Panem Zastępów przywoływał przed bitwą w pomoc, już nie szablice tylko i oszczepy, lecz niebian nawet poparcie, aby poświadczone było, że dobra sprawa musi zwyciężyć. Pod Grunwaldem on był prawdziwym chrześcijaninem — nie te knechty w białych płaszczach, co jakby dla ironji wywlekli krzyża godło gwoli bezprawiu — i którzy po bitwie tysiącami trupów zalegli pobojowisko, rażeni gromem gniewu Bożego...

A z hydrą idąc w zapasy, co ciągle na baczności mieć się kazała, — znajduje w sobie ten sam „gruby na umyśle" Litwin dość zrozumienia duchowych potrzeb kraju... Czego nie zdołał uzyskać Kazimierz W., udaje się jemu... Na oścież otwiera okiennice Polski, aby dać przystęp światłu: zakłada Akademję krakowską, tę „perłę nauk wszystkich, co wypuszczała z siebie ludzie poradne i w rozmaitych profesyjach ćwiczone", buduje podwalinę prawidłowemu rozwojowi umysłów na gruncie swojskim już, bez potrzeby szukania obcych bogów.

Dał Polsce i nowy nabytek wielki i nabytków poprzednich trwałość. A z krwi Jagiełłowej wywiodło się pokolenie królów, których zazdrościły nam ludy — widomy znak błogosławieństwa, wniesionego przez Litwina do Piastowej świetlicy...

Stoi tedy w dziejach naszych jako jeden z najwyżej czczonych i najgoręcej ukochanych. Oprócz czci zaś i miłości okala go tęczowy obręcz poezji, czar przedziwnych kontrastów.

Ten król w baranim kożuchu, a taki majestatyczny w chwilach wielkich; ten ukoronowany analfabeta troszczący się tak usilnie o to, by Polska miała „studjum we wszystkich naukach", — ten rycerz nieustraszony i dzielny wobec wroga, a we łzach gorzkich kajający się, gdy go strofuje Oleśnicki, — ta przedziwna mieszanina prostaczka i pomazańca nie ma nic równego w dziejach...

To też przeznaczenie dało mu i śmierć piękną, szczególnym owianą urokiem: sędziwy starzec, zwycięzca z pod Grunwaldu, usypia jak młody trubadur, ukołysany pieśnią słowiczą w gajach medyckich, oddaje ostatnie tchnienie w zacisznym Gródku, oczyma wodząc po zwierciadlanej tafli stawów, cichej, łagodnej, błękitnej niebios odbiciem.

S-w.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(13)

VI.

Brzeg był istotnie wyśmienity, tryl równy i czysty. Holownicy szli wesoło i sporo. Podzielili się na dwie partje, które zmieniały się co cztery godziny. Jedną prowadził Obuch, za nim szedł Indor, dalej dwóch sennych, małomownych, ale pracowitych chłopów sybirskich, a na końcu szeregu plątał się Niemiec. Drugiej przewodniczył Majdaniarz, za nim szedł Achmet, dalej dwóch Żyganów, wreszcie marny człeczyna, któ-

rego wzywał na świadka w zaburzeniu Damian, a którego zwali Wiarusem, ponieważ twierdził, że służył niegdyś w wojsku.

— A jakże, służyłem na Kaukazie i tam sądzony byłem wojennym sądem polowym, ale swego stanu nie zostałem pozbawiony — opowiadał.

— Pewnie kurę ukradłeś! — wtrącił Indor. — Przyznaj się, wsypali ci?

Weteran uśmiechnął się i ręką z niechcenia krzyż sobie głaskał. Przyjaźnił się z Niemcem równie jak on pogardzanym i wciąż coś obaj do współki zszywali i sztukowali w chwilach wolnych na postojach, siedząc na dziobie łodzie, gdzie u ognia królował Spirydion. Ten zawsze był rad słuchaczom i potajemnie wyróżniał przyjaciół przy rozdawaniu porcyj. Ogromnie brzydki, ogromnie brudny kuchta miał głowę pełną romantycznych opowieści, zawsze zaczynających się w ten mniej więcej sposób:

— Bez pamięci mię kochała... Uściśnie, niby płomieniem opali, a ja nic... Obojętne miałem dla niej serce... Pieniędzy, jedzenia, wszystkiego, co się nazywa, w bród! A ja nic... Pochodzę, przyjrzę się miejscowości, okolicę poznam i mówię: „Żegnaj kochanko wierna, muszę cię porzucić, pójść swojej doli szukać!...“ Ona w płacz, ręce łamie, w omdlenie pada, a ja nic. Jedna kupcówna była taka tłusta i żałosna, że jak zapłakała, to wszystko w niej drżało niby galareta, a ja nic... Chciała, żebym się z nią ożenił... Tysięczny majątek miała, dom na najlepszej ulicy, konie, powóz, magazynów dwa, służby i subjektów moc... A ja nic... „Dola moja droższa mi nad wszystko!“ — mówię jej. Poszedłem. Przyszedłem do Saratowa...

— Ach, wiem. Znam Saratów. Piękne miasto. Byłem z moim generałem — przerwał Wiarus.

Spirydion spoglądał nań wzgardliwie, ale usta zacinał i słuchał, udając, że go opowiadanie zajmuje.

— Przyjechaliśmy. Stanęliśmy w hotelu. Zaraz samowar, bułki, wędlina. Zjedliśmy, wypiliśmy. Potem do teatru albo na koncert. Generał do środka, a ja stoję na korytarzu i czekam. Dość wesoło. Chodzą cywilni, palą papierosy. O północy do domu, znów samowar. Potem spać. I tak codzień. A następnie dalej do drugiego miasta. Znów stajemy w hotelu. Znów samowar, bułki, wędlina... albo coś w tym rodzaju... Zjemy, wypijemy, potem do teatru. Cały kraj objechaliśmy z generałem, nawet w Paryżu byliśmy...

— Było, wszystko było!... — uśmiechał się lekceważąco Niemiec.

— Ale posłuchajcie, bo nie dajecie mi skończyć. Z Saratowa do Carycyna. Tutaj idę sobie z tobołkiem na plecach, w tem zbliża się służąca dostatnio ubrana, ładna, z kolczykami i broszką i mówi: „Słuchajcie, przechodniu, pani moja, która mieszka tu naprzeciwko“...

— Hej! Zczyszczaj! Zrywaj! Żywo! Nie widzicie ślepe cietrzewie, co się dzieje! — rozlegał się okrzyk Gurana.

Opowiadanie urywało się: opowiadacz uzbrojony w miarę lub bosak, rzucał się na koniuszczek dzióba i starał się odczepić pólkę zahaczoną za prądowinę lub kamień podwodny. Z brzegu pomagał mu ostatni holownik, a wstrzymany statek tymczasem zwolna biegł półkolem ku ziemi.

— Ażeby wam się rodzona babka przyśniła, gaduły przebrzydłe! Języki wam nie odpoczną, mielecie jak sroki... I łżecie, aż się kurzy, a nas szarpie! — wymyślali gawędziarzom holownicy.

Rozmowy milkły na chwilę na dzióbie statku i słychać było jedynie, jak na łodzi kupcy kłócili się, grając w karty, lub jak Guran uspakajał panią Annę:

— Zupełnie głupio pani rozumuje. Wcale tak nie bywa, żeby się w prostych smugach na płaskości pólka urwała. I nic to wielkiego. Szkuta przybija jeno do brzegu i... stop!... Ot, kiedy przyjdziemy do „skał“, do „bylin“, które obchodzić potrzeba na bosaka, tam zdarza się... że istotnie sznur się przetrze albo hak zemknie... Ale w takiem równem miejscu zawczasu się bojać — to na nic!... To od tego zdrowia nie przybędzie!..

Karski, zasłyszawszy zdala podobne ojcowskie strofowanie, spieszył czemprędzej z dzioba, gdzie słuchał opowiadań Spirydiona lub z dachu budy, gdzie oparty o maszt, czytał książkę — i dyplomatycznie sprowadzał rozmowę na inny przedmiot.

Pogoda sprzyjała. Szli dzień i noc, gdyż zmrok nie gęstniał jeszcze do tego stopnia w tych szerokościach, aby przeszkadzać podróży.

Wiodły ich w przejrzystą dal wody, blednąc stopniowo, wysokie przylądki, zielone ostrowia, mgliste lasy, jasne łąk smugi, podszyte u wody żółtymi piachami, odbite w ruchomych kryształach i srebrze szemrzących odmętów. Czasem wietrzyk rzucił świerz na rzekę, niby garść pereł po niej rozsypał, czasem słońce w złotą łuskę ją odziało lub księżyc położył płachtę światła na drgające w biegu lustrzane jej łono. Ruiny skał spały w ciszy głębokiej na brzegach i szkuta posuwała się wzdłuż nich ostrożnie, krając nurty swą sztabą. Bulkotał wart, trącając o wypukłe buchty statku, ogień żarzył się na dziobie czerwono, białe płótno budy chwiało się jak złożone skrzydła płynącej do gniazda rybitwy, opodal głucho chrzęściał piach i żwir pod nogami oryli. Pani Anna nuciła cichutko, usypiając syna:

Aa, aa! Kotki dwa,
Szare, bure obydwa!
Śpią, śpią, nie płaczą.
Jak się wyśpią, to skaczą!..

Z tyłu odbicia mijanych gór, lasów, wybrzeży tańczyły cudacznie na fali, to kurcząc się poczwarnie, to wydłużając, jak nitki, niby z wielkiej uciechy, że marne a niespokojne ludzkie istoty opuściły je nareszcie.

A na przodzie statku Spirydion, mieszając w kotłach, opowiadał przyciszonym głosem nowemu, znęconemu kąskiem słuchaczowi...

„Kochała mię, tak mię kochała... Żegnaj, duszo! Uwielbiam cię, ale muszę cię już porzucić. — Kochanku mój najmilszy... nie przeżyję rozłączenia... — Godna osobo, każdemu przeznaczony los do spełnienia...“ Ty śpisz, widzę! Cóż to znaczy?

— Wcale nie... tak się tylko pochyliłem. Śla starła mi lewe ramię, więc muszę się na prawem opierać... — bronił się słuchacz.

Karskiego dziwiło niezmiernie, że nie widywał prawie wcale Koźmy. Damian we dnie grał z kupcami, a w nocy spał, lecz co robił jego wspólnik, to długo pozostawało dla Karskiego zagadką. (C. d. n.)

Górale ze wsi Izdebna.

Żadna z pięknych wiosek ks. Cieszyńskiego nie posiada tak głośnej sławy w kraju i poza jego granicami — jak wieś Wisła. Na rozgłos ów składa się okoliczności wiele: położenie u źródeł domowej rzeki polskiej — Wisły; czarowna piękność dolin, w których się rozsiadła; najwyższe — z wyjątkiem Łysej — szczyty Beskidów śląskich; liczne opisy turystów; rozpoczynająca się wziętość, jako znakomitej stacji klimatycznej.

Od lat kilku jednak zdobywa sobie popularność i inna wieś śląska: Izdebne, przezwana brzydko przez Niemców Istebną. Popularność to jednak innej barwy, innego rodzaju:

Izdebne leży dalej od stolicy kraju, od Cieszyna, — zajmuje ostatni południowo-zachodni skrawek etnograficznie polskiej ziemi, — a jeżeli odjechać od niej *nudno*, jak od onej bogdanki z pieśni, — to i dojechać niemniej, jak do tamtej, *trudno*.

Góry jej strzegą; stanęły na wszystkich gościńcach, wiodących do wioski i odstraszają lekkomyślnych śmiałków stromością wysokich zboczy — i tajemniczą ciemnością lasów, — i legendami o groźnych upiorach, o nocnicach wabiących.

Dzięki też im, górom, — wiernym strażniczkom skalnym, Izdebne zdołało przechować po

dziś dzień wszystkie pamiątki, wszystkie skarby przeszłości zamierzchłej.

Nigdzie chyba nie zachowują z większem, niż tu, zamiłowaniem, dawnych zwyczajów, starych, poetycznych obrzędów, ani malowniczych strojów ludowych.

Nigdzie chłopcy nie rozwijają dzielniejszej ochoty w oryginalnych, pełnych charakteru tańcach, — a dziewczęta nie śpiewają śliczniejszych pieśni na pastwisku, przy obrzędach weselnych, a zwłaszcza wśród tajemniczej ciszy srebrnych nocy księżycowych przy rwaniu lnu...

ciem o zdradliwych nocnicach, tańczących pod postacią lotnych płomyków nad trzęsawiskami dla omamienia ludzi, — ale mówią także i o Wandzie, królewskiej dziewusze, co nie chciała Niemca, i tu, na Śląsku, pod Skoczowem skoczyła w Wisłę; — starzy ludzie mówią też i o Janie Kazimierzu, b o r a k u[1]), któremu ziemia śląska dawała schronienie, — mówią o Janie Sobieskim, co szedł z Turkiem na szaniec i Wiedeń zbawił,— o Kościuszce...

I nie szkoła, nie szkoła nauczyła ich tego! Ojcowie synom oddają — z pokolenia w pokolenie — opowieści stare, nito skarb drogi, zbiór klejnotów kosztowny, z którego nie wolno uronić ani jednego świecącego kamyka, ani jednej perły przejasnej!



IZDEBNIANIE.

A wraz z dawnym strojem, zwyczajami, pieśnią — przechowują Izdebnianie i pamięć o dziejach dawnych. Przy rubinowym blasku watry, płonącej na nalepie, pod ruchomym baldachimem dymu, który przenika tu wszystko właściwym sobie zapachem, snują się w ich chatach opowieści niby długa, mocna, świecąca nić prządek ze sławnych lnów śląskich. Starzy ludzie opowiadają o złotogłowcu, tajemniczym królu wężów, — ale i o królu Bolesławie, co sławnym orężem Śląsk zdobył dla Polski. Starzy ludzie szepcą z przejęciem...

I z tej to właśnie wierności pamięci i serca słyną w domu i poza domem Izdebnianie. Wioska ich dostarcza najobfitszego zazwyczaj materjału etnograficznego wystawom krajowym, — wioska ich dostarcza żarliwych — nieraz jedy-

[1]) nieboraku.



MUZYCY IZDEBNIAŃSCY NA TLE GÓRSKIEGO SZAŁASU CZYLI KOLIBY.

nych z tamtych stron — uczestników obchodom narodowym. Jadą do Zakopanego, Krakowa, Warszawy, stają — po sześciu wiekach rozłąki — obok braci z innych dzielnic, radują oczy ludzkie rycerską dzielnością dorodnych postaci, radują serca muzyką starodawnych gajd — pieśnią: „Jeszcze nie zginęła!“...

Dla pracujących

W jednej z zajmujących swoich korespondencji, umieszczanych w „Prawdzie“ warszawskiej p. Iza Zielińska podaje godne uwagi szczegóły o tem, co czyni Paryż dla podniesienia fizycznego i moralnego zdrowia klas pracujących. Pierwsze miejsce w szlachetnych tych usiłowaniach należy się dwom instytucjom: kolonjom wakacyjnym dla dorosłych i Pałacowi Ludowemu.

W roku zeszłym — czytamy we wspomnianej korespondencji — założono w Paryżu stowarzyszenie p. n. „La nature pour tous“ („przyroda dla wszystkich“) mające na celu ułatwienie ludności pracującej użycia wakacyj. W tym roku powstało na ten sam wzór nowe stowarzyszenie p. n. „Le Rayon du Soleil“ („Promień słońca“) i oba ściągnęły po 300 osób do urządzonych przez się sposobem kooperacyjnym willegiatur. Opłata jest niebywale nizką, bo wynosi zaledwie 2 fr. 50 c. za pokój z całodziennem utrzymaniem a obok tego są gromadne wycieczki i rozrywki codzienne, wynikające ze wspólnego pożycia. Nie-

jeden fabrykant lub właściciel pracowni ze zdumieniem usłyszał od swej podwładnej żądanie 15-dniowego urlopu „dla zobaczenia morza": aby urzeczywistnić to marzenie, nie jedna szwaczka lub modystka urywała od swego skromnego zarobku i wytrwale składała przez cały rok po 1 fr. tygodniowo do kasy stowarzyszenia. Inicjatorzy tych willegiatur ludowych spodziewają się, że z każdym rokiem będzie wzrastała ilość pracowników i pracownic, mogących zeń korzystać, w miarę przyzwyczajania się pracodawców do dawania urlopów i zrozumienia ich potrzeby.

Dla tych zaś, którzy żadną miarą pozwolić sobie na wakacje, choćby jak najkrótsze, nie mogą, przybyła w tym roku instytucja całkiem nowego charakteru i niezmiernie godna poznania, a jest nią t. zw. „Château du Peuple", (Pałac Ludowy), założony staraniem jednego z najstarszych i najlepiej zorganizowanych uniwersytetów ludowych w Paryżu, noszącego nazwę „La Coopération des Idées". Śmiałe przedsięwzięcie wynajęcia w lasku Bulońskim willi na użytek członków, opłacających zaledwie 1 fr. miesięcznie, wydawało się na razie szaleństwem, a jednak energja i zapał dokonały cudów. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazła się willa opuszczona przez klub automobilistów w uroczem otoczeniu zieleni i drzew. Organizatorzy potrafili z tego przybytku zblazowanych próżniaków stworzyć ognisko życia i szczerej wesołości, do jakiej zdolni są jedynie ci, którzy nie znają, co to nudy, bo na nie przy całodziennej, mozolnej pracy nie pozostaje im czasu. Już od samego wejścia doznaje się dziwnie miłego wrażenia, nikt tu nie pilnuje publiczności, nie spotyka się żadnych regulaminów lub przepisów, a jednak wzorowy porządek i ład panują wszędzie.

Pokoje na dole otrzymały swe przeznaczenie odpowiednio do sekcyj, jakie się w Uniwersytecie ludowym utworzyły, a więc sekcja sztuki dramatycznej, sekcja muzyki, fotografji, ogrodnictwa, fechtunku, gry w szachy, sportów itp. Każdy nowo przybywający skierowywa się do sekcji najbardziej dlań interesującej i, nie podlegając żadnym formalnościom przyjęcia, bierze natychmiast udział w zbiorowej czynności lub rozrywce. W największej sali mieści się bufet, gdzie można za nader małą opłatą znaleźć podwieczorek (25 centimów) lub obiad (1 fr.), ale trzeba sobie samemu usłużyć, tak jak się to robi u siebie w domu, bo organizacja „Château du Peuple" opiera się właśnie na zasadzie „toute domesticité est suprimée", a każdy nowy członek z chwilą otrzymania swej karty wstępu dowiaduje się, że ciąży na nim obowiązek strzeżenia wspólnej własności i porządku, oraz pełnienia wszelkich usług, jakie w interesie dobra ogólnego okażą się potrzebne.

Pokoje na piętrze willi mają być na rok przyszły urządzone i wynajmowane za minimalną opłatą członkom Uniwersytetu ludowego, potrzebującym kilkodniowego wypoczynku na świeżem powietrzu. Używalność ich określono na tak krótko, aby tem samem umożebnić większej ilości członków korzystanie z pobytu na wsi, jak również aby służyła ona tym jedynie, którzy na dłuższą przerwę w pracy pozwolić sobie nie mogą. Każda niedziela ma inne przeznaczenie, pierwsza jest zabawą taneczną, druga poświęcona jest poezji, trzecia — zabawom dziatwy, a czwarta — muzyce. Gwarno też tu co niedziela, dziatwa używa swobody w uroczym parku, a rodzice znajdują szlachetną rozrywkę, słuchając muzyki, deklamacji lub przedstawienia teatralnego. Niech jednak nikt nie sądzi, że karmią tę publiczność płaskiemi farsami lub pospolitymi wodewilami, gdyż na program przedstawienia składają się zawsze arcydzieła literatury dramatycznej zarówno dawnej, jak współczesnej. Aktorami są tak pracownicy najrozmaitszego fachu, jak i artyści z zawodu, nierzadko nawet pierwszorzędnej sławy, jako też uczniowie i uczenice konserwatorjum paryskiego. Ci fachowi artyści nie poczytują sobie za ujmę występować razem z amatorami ze sfery pracującej, nie zrażają się brakiem sceny, kurtyny i wszelkich akcesorjów teatralnych, rolę bowiem dekoracyj grają drzewa i krzaki, a widzowie zapełniają szczelnie ławki z białego drzewa. Ale za to z jaką uwagą słucha ta publiczność wiersza deklamowanego lub produkcji muzycznej, jak szczerze przejmuje się akcją dramatyczną, jak gorąco odczuwa piękno artystyczne i jak pilnie doszukuje się głębszej myśli społecznej...

Iza Zielińska.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Początki religji żydowskiej w Polsce*. Napisał dr. Maksymilian Gumplowicz. Warszawa 1903. — Jest to zbiór kilku luźnych szkiców, wydanych przez p. Ludwika Gumplowicza, który w przedmowie ubolewa, że autor nie pozostawił not objaśniających i odsyłaczów do źródeł, lub dzieł, z których czerpał swe śmiałe poglądy i pomysły historyczne. Istotnie myśl przewodnia autora jest bardzo śmiała, bo chce on, udowodnić, że Żydzi nie zagościli do Polski za czasów króla Kazimierza, lub jego poprzedników, ale że byli w tych stronach z dawien dawna licznie rozsiedleni jeszcze wtedy, gdy o Polsce historycznej wzmianki nie było. W pierwszych wiekach chrześcijańskiej ery prowadzili ożywiony handel między Azją a okolicami nadbałtyckiemi, później zaś panowali w tych stronach.

Cała książeczka, zawierająca takie odkrycia, ma jedynie charakter fantazji na temat historyczny.

Karol Homolacs: *Którędy...* Lwów. Księgarnia H. Altenberga. 1903. — Na Przybyszewskim — mimo jego dumnych protestów — odbił się silnie Fryderyk Nietsche; że jednak Przybyszewski jest „genjalną bestją“, umiał Nietschego według swej indywidualności przez siebie wypowiedzieć oryginalnie, a oprócz tego stworzyć cały szereg indywidualnych, wspaniałych poematów prozą.

Poematy Przybyszewskiego wywarły wielki wpływ na całą niemal „Młodą Polskę“, zwłaszcza na kobiety-poetki i na kilku młodych, szczególnie na tych, którzy dopiero wstępowali do świątyni Muz.

Było i — zdaje się — przeszło... Ale — nie! Oto jeszcze jeden — p. Karol Homolacs. — Skarży się p. Homolacs, że wiecznie musi myśleć, że wiecznie myśli, — gdzież wyniki? Gdzież skutki tego ustawicznego myślenia? W książce ich niema. W książce są jeno marne przeróbki z Przybyszewskiego („Chory“ przypomina „Dzieci Szatana“ — „Chrystus i zbrodniarz“ kombinacja na temat „Also Sprach Zaratustra“ Nietschego — „Godzina myśli“ to zlepki z Przybyszewskiego „Na drogach duszy“, „Ja i ona“, „Na balu“, „Zbrodnia“ — — to takie stare i tak cudownie obrobione (tak) przez wielu pysznych nerwowców!.. Zatem... gdzież skutki tego myślenia (bo nb. w wyżej wspomnianych utworach ani jednej nowej niema myśli) — gdzie? Aha!.. „korzyść jest z mojego myślenia, bo mnie ząb przestał boleć“ — powiada p. Homolacs. No, to dobrze. Nawet bardzo dobrze. Lubię, gdy kogoś ząb przestaje boleć.

W „Prosektorjum“ to nawet Fidjaszowi „pluje w twarz“ pan Homolacs, poczem obiecuje zaraz, że on (jako artysta-malarz-rzeźbiarz) stworzy coś, co nie będzie tak banalnem, jak... te rzeźby... tego Fidjasza...

Tylko, tylko już przed panem Homolacsem pluli niektórzy młodzi perłami — a pan, panie Homolacs, plujesz li tylko malutkiemi, bzdurskiemi ślinkami... Okładka bardzo ładna — tylko wewnątrz nie... tego...

Feliks G.

Wiadomości bibljograficzne. — Altenberg Maurycy inż. O wyzyskiwaniu sił wodnych z opisem trzech zakładów wodno-elektrycznych. Odb. z czasop. technicznego. Lwów, nakł. Tow. Politechnicznego, 1903, 4, str. 26, z 2 tabl. i 24 rys. w tekście.

Kowalewska Zofia dr. Uniwersytet chłopski w Szwecji. Bibljoteka spółczesna, nr. 1. Warszawa, księg. Naukowa. 1903, 8, str. 47.

Kozłowski W. M. Zasady przyrodoznawstwa w świetle teorji i poznania. Wydaw. Przegl. filozof. Warszawa, wyd. Kasy im. Józ. Mianowskiego, 1903, 8, str. 311.

Putzger F. W. Atlas historyczny do dziejów starożytnych, średniowiecznych i nowożytnych dla użytku wyższych i średnich zakładów naukowych. Wydali Alfred Baldamus i Ernest Schwab, wydanie polskie opracowali J. Lewicki i Wł. Bojarski. Wiedeń, nakł. wdowy po A. Pichlerze, 1903, 8 duża, 52 map wielkich i 61 mniejszych.

Volkert Krzysztof. Dynamo-maszyna, plastyczny model rysunkowy z objaśnieniami dla szkół przemysłowych i samokształcenia się. Opracowanie polskie Kazimierza Jeziorkowskiego. Warszawa, nakł. i druk. M. Arcta, 1903, 4, str. 32, fig. 5.

Żeromski Stefan. Opowiadania. Wyd. trzecie. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1903, 8, str. 268 i 1 nl.

NOTATKI. *Model pomnika Zoli* jest już gotów. Obaj rzeźbiarze, Charpentier i Meunier, zobowiązali się ukończyć wszystkie roboty około pomnika w ciągu trzech lat. Na modelu Zola stoi na skale, w pozie pełnej męstwa, jak człowiek, przygotowany każdej chwili do pójścia w bój za swoje idee. Za jego plecami unosi się postać Prawdy, wskazującej mu drogę. U podnóża skały mnóstwo figur symbolicznych: matka, otoczona dziatwą, karmi niemowlę; kowal podnosi ciężki młot do góry — symbole dzieł Zoli: „Płodność“ i „Praca“. Pomnik stanie w Tuilleryjskim ogrodzie w Paryżu.

Książki dla ślepych. W Zurychu otwarto pierwszą na świecie czytelnię dla ślepych. Zebrano dla niej mnóstwo książek, drukowanych wypukłemi literami systemu Brayle'a. Dotychczas istniały tylko niewielkie bibljoteczki tego rodzaju przy instytutach dla ślepych.



Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.